

Od autora: To druga z cyklu moich letnich, nadmorskich miniatur, do której lektury serdecznie Was dziś zachęcam. Porusza pewne czułe punkty, ale o tym przeczytacie za chwilę. Częściowo na faktach. Tytuł zapożyczyłem z piosenki Connie Francis. Zapraszam do czytania i dzielenia się refleksjami.

- Cholera! – krzyknąłem, bo naprawdę nie miałem pojęcia, co się dzieje.
- Co się stało, Mike? – spytała Candy, zerkając na mnie niepewnie.
- Coś przerywa. Zaraz pewnie staniemy i będzie po wszystkim.
- Może brak benzyny?
- Zalałem po całości. To nie może być to.
- A więc?
- A bo ja wiem? Nie jestem mechanikiem.
- Spójrz: tam jest szyld „Naprawa pojazdów”, może ten koleś nam pomoże?
- Może. Nie zaszkodzi spróbować.

Jechaliśmy nad morze, w zasadzie już byliśmy o kilometr od boskiego Summer Place, gdzie zamierzaliśmy spędzić dwa tygodnie, i co więcej, chcieliśmy wycisnąć z tego niezwykłego miejsca coś jeszcze: *prezent od losu*, którego dotąd nie otrzymaliśmy, bo widać inne były boskie plany, ale nasza desperacja sięgnęła zenitu, teraz „*pamiątka znad morza*” miała stać się rzeczywistością, naszym letnim snem.

Czy wiedziałaś, że ja wiem, że ty wiesz?

Czy oboje wiedzieliśmy?

Czy był moment, kiedy się zorientowałaś, że... że coś tu nie gra?

Przecież wy, kobiety, podobno jesteście w stanie dokładnie określić, z kim macie dziecko i kto stał się jego ojcem, choćbyście w jednym czasie współżyły z wieloma.

Ileż to razy byłem w tobie, do końca, pamiętasz?

Czułaś to, co i ja przeżywałem.

Nie zapomnisz tych wszystkich „pewnych dni”, kiedy on lub ona mogła...

Tak, mogła, ale...

Wtedy, w czerwcu minęło pięć lat, odkąd prowadziliśmy tę „niemą rozmowę”.

Nie padło jedno słowo, nie zadano jednego pytania.

Nadal uśmiechaliśmy się do siebie, wciąż robiłem ci rano grzanki, a ty, wracając z pracy, kupowałaś mi duże frytki z hamburgerem, czasem zestaw poszerzając o małą colę.

Kiedy cię całowałem w drzwiach, wiedziałem, że to jest moja mała rzeczywistość.

Nasza chwila na wieczność, cokolwiek miałyby to znaczyć.

A gdy noc zakrywała świat czarnym kocem, byłem z tobą do białego rana.

Potem, o świcie, widziałem w twoich oczach coś na kształt pytania.

Nigdy go nie zadałaś, a ja wołałem, by tak pozostało.
I mijały miesiące, lata, zimy i wiosny, w milczeniu gasły wtorki i soboty.
Lecz nikt z nas nie miał pewności, gdzie leży powód.
To mogłem być ja, to mogłaś być ty, a może coś, co padło przeszkodą między nas, rzucone jak przekleństwo losu, który lubi beczelnie zakpić w chwili, kiedy człowiek błaga o pomoc.

Patrzyłem ukradkiem na dziewczyny z wózkami – piękne swoim macierzyństwem.
Widziałem, jak pchasz ten nasz, spoza krainy marzeń.
Na wielkich, srebrnych kołach, z nią lub nim, śniącym sen o wspaniałych rodzicach.
Widziałem te nieistniejące oczy i umierał czas.
Nigdy nie pomyślałem o winie.
Może i ty tak na to patrzyłaś.

- No dobra, chodźcie, zobaczę, co też się tam popieprzyło – powiedział Wes, dwumetrowy, czarnowłosy mechanik, u którego tego dnia wylądowaliśmy. – Ale nic nie obiecuję, jakby co, dam wam nocleg, tam, w przyczepie. Śracz jest z tyłu, a woda w studni. Prądu nie ma.
- Zrobisz to na jutro? – spytałem. – Przyjechaliśmy na wakacje, szkoda każdego dnia.
- Pewnie tak, jak dowiem się, w czym problem. Czasem małe dziadostwo znaczy wiele.
- Mamy trochę karkówki, kiełbasy i piwa. W ramach podziękii za spanie. Mały grill?
- He he, nieźle, wchodzę w to. Mam sporo bimbru. Sam Bobby Ventura go pędził, zanim w 1965 nie utopił się w dole z gnojówką. Szkoda chłopca, ale co komu pisane...

Byłem cholernie zmęczony, ten dzień dał mi mocno w kość, a teraz tkwiliśmy u nieznanego faceta, z zepsutym samochodem, raptem kilometr od miejsca, do którego zmierzaliśmy, i nawet jedzenie jakoś mi nie szło – czułem, że odpływam.
Czy był to diabelny upał, czy nerwy, czy może mieszanina alkoholi, dość szybko moje uczestnictwo w biesiadzie zakończyło się niezapamiętaną wycieczką do obłej przyczepy, gdzie padłem na twarz na cuchnące potem łóżko i zasnąłem.

Obudziły mnie stłumione jęki, twoje jęki, Candy, i w jednej chwili wróciła świadomość.
Wes leżał na tobie i było mu dobrze: jego tyłek miarowo poruszał się, a on ciężko oddychał.
Szybko wytrzeźwiałem, lecz ku własnemu zdziwieniu nie zrobiłem nic.
Nie obejmowałaś go tak, jak zawsze obejmowałaś mnie – wszystko było inaczej.
Odwracałaś głowę, by cię nie całował.
Twoje ręce leżały bezładnie na trawie.
Przypominałaś plastikowy manekin, na którym ktoś trenuje śmieszne ruchy.
Biernie oddawałaś się chwili, i ja, obserwator, poczułem, że nie zrobię nic, by przerwać ten wyuzdany spektakl, nie było we mnie siły, która kazałaby mi to uczynić, ani ochoty.

Nie potępiałem cię, jakże bliska wydałaś mi się wtedy, kiedy on był z tobą.
Bardzo pragnąłem, by...
Wiesz, co, prawda?
Przez chwilę byłem nim, i wchodziłem w ciebie, namiętnie, jakby był to sen o spełnieniu.
Jako piękna kobieta mogłaś mieć każdego, jednak nie szukałaś, lecz kiedy to samo odnalazło ciebie, popłynęłaś na tej fali, i nie poczułem się tej nocy zdradzony, byłem pewien, że to część naszego życia, coś, co musiało się stać, by dać ciąg dalszy nowym wydarzeniom.

Mogłem go zabić.

Mogłem zrobić wszystko, co zrodziłoby się w mojej głowie.

Patrzyłem, jak wypełnia cię sobą i było mi z tym dobrze.

Kiedy wbijałaś palce w ziemię wiedziałem, że tej nocy właśnie w tym miejscu mieliśmy się znaleźć, my, mijający się od lat zakochani, my, niespełnieni, samotni, choć żyjący pod jednym dachem, w końcu my, chcący pozostawić po sobie coś, co zdefiniowałoby nasze małe kochanie, nasze zwyczajne „bycie razem”.

Córeczko, ciągle pytasz, dlaczego mama i ja mamy jasne włosy, a ty masz kruczo-czarne.

Czemu się tak różnimy, chcesz wiedzieć?

Odpowiedź jest prosta: twój dziadek był Hiszpanem, tak, prawdziwym Hiszpanem, walczył z komunistami z wojnie domowej i poznał samego generała Franco.

Więc w twoich żyłach płynie bohaterska krew.

My z mamą jesteśmy Amerykanami, nam się nie udzieliło to, co tobie.

Ciesz się, że masz czarne włosy, ciesz się wszystkim, co do ciebie przychodzi.

- Candy, możemy pozostać w Summer Place aż do końca września, chcesz? Interesy idą całkiem dobrze, nie muszę wracać, mogę być tu, ile zechcę. Samochód naprawiony, wszystko gra. Jestem panem sytuacji. Mają tu takie żarcie, że już nigdy tego nie pocujemy.

- Tak. Wiem, a może zdaje mi się, że to wakacje naszego życia.

- Właśnie. Już takich nigdy nie będzie. Czuje to i nic tego nie zmieni.

- Masz to jak w banku.

- Czemu to mówisz?

- Jesteśmy tu już ponad miesiąc, a ja nie miałam miesiączki.

Wtedy zrozumiałem.

Nie byłem zły, nie poczułem, by gniew wszedł we mnie i nakazał myślom atak.

Było mi dobrze, błogo, naturalnie, i gdybym szukał słów na ten stan rzeczy, pewnie znalazłbym stek pustych frazesów, nic niemówiących i wypranych z emocji.

Otworzyłem piwo i powoli piłem.

Candy patrzyła na mnie i kątem oka widziałem, że chyba jest szczęśliwa.

Czy wiedziała to, co ja, tego mi nigdy nie powiedziała.

Mieliśmy cię, córeczko, i mama, i ja, w radosne wiosny, i w smutne zimy.

My, twoi rodzice.

I każda chwila życia, była naszą, szczerą, przeżyta od początku do końca.

Radość, smutek, obojętność – byliśmy w tym z tobą.

Córeczko, byłaś spoiwem, które nas złączyło, dało siłę i moc, wiarę i potęgę.

Wiesz, że dziecko jest władne kreować świat, w którym kochamy?

Jest katalizatorem.

Uczestniczy i bywa tym najważniejszym elementem.

Potem opuściliśmy Summer Place i urodziłaś ją, Candy, kiedy inni umierali na raka w dusznych, niewentylowanych pomieszczeniach, gdzie cuchnęło moczem i ludzkim upadkiem.

Wtedy, w czerwcu, gdy lato czule całowało słońcem, zostałem ojcem.

Siedząc w parku, zadawałem sobie pytanie: czy istnieje *dobre kłamstwo i zła prawda*.

Czy można skrzywdzić brutalną treścią, lub dać radość i nadzieję, mówiąc niekoniecznie to, co jest prawdziwe, a może warto nabrać wody w usta?

A może należy uważnie korzystać z elementów „prawdy i kłamstwa”?

Bo są to dwie strony tego samego medalu, a więc zabawa ta może się okazać nie do końca tak przyjemną, jakby się to chciało widzieć, lub wręcz przeciwnie, dać pozór spokoju i harmonii.

Moja mała, dziś jesteś już kobietą, a za chwilę będziesz jego żoną i wyjedziesz stąd na zawsze, do dalekiego kraju, na inny kontynent, i nasz kontakt będzie znikomy.

Boję się, że cię stracę, że mama wciąż będzie na ciebie czekać, jakbyś miała jutro wrócić do domu, po lekcjach, znów mała, z tornistrem na plecach, z kolorowymi spinkami we włosach, ubrudzona czekoladą, którą kupiłaś w sklepiku u sędziego pana Adamsa.

Wiem, że twój narzeczony da ci miłość, tego jestem pewien, znam się trochę na ludziach.

Pamiętaj, że w dzień i w nocy myślimy o tobie, oglądamy wspólne zdjęcia i filmy, na których widać, jak się zmieniałaś przez te wszystkie lata, co minęły i już nie wrócą.

Teraz tylko to nam pozostanie.

Czas nigdy nie stoi w miejscu i w całej swej przewrotności odkrywa kolejne karty życia.

Kiedy to się zaczęło?

Niecałe pół roku po wyjeździe córki do Australii, pewnego, szarego, zimowego dnia, po raz pierwszy poczułem, jakże wyraźnie, że coś się zmieniło, i „dawne” to już zamknięty rozdział.

Wtedy, Candy, nie pocałowałaś mnie po powrocie z pracy, poszłaś do pokoju i usiadłaś w fotelu, wpatrzona w mrok za oknem, a ja stałem obok jak zbędny rekwizyt.

Jeszcze nie wiedziałem, co dokładnie się stało, ale intuicja szeptała nad wyraz pewnie, że coś złego, i że zaraz to na mnie spadnie – i spadło jak grom z jasnego nieba.

Tam, w dalekim kraju zdarzył się wypadek samochodowy, zderzenie czołowe, tam, w złym kraju śmierć pocałowała twoje młode usta, córeczko, choć miałaś przed sobą całe życie.

Dziś nie potrafię patrzeć na twoje zdjęcia, i nie wiem, czy kiedykolwiek to się zmieni.

Mama przestała się odzywać, jest jak powietrze, a ja wiem, że nie dam rady cofnąć czasu.

Byłaś solą naszego małego szczęścia, i teraz, kiedy cię nie ma, nas też nie ma.

Czy potrzeba awantur, krzyków i wyzwisk, by to, co łączyło do niedawna kobietę i mężczyznę, pewnego dnia zgasło jak nędzne ognisko, do którego nikt nie dorzucał drew?

Nie umieliśmy już odnaleźć ciepła dłoni i smaku dawnych pocałunków.

Znajome od zawsze twarze, czułe gesty i słowa stały się nagle pokraczną grą pozorów, nieuchronnie prowadzącą do samoistnego wypalenia, wczorajsze zakłęcia spłynęły niemą ciszą, stając się czasem przeszłym dokonanym, jak sny, których nigdy nie było.

To, co niegdyś cieszyło, dziś jedynie podrażniało obolałe nerwy, to, co przed laty budziło żywy odruch serca, dziś było pustką – teraz sekundy stawały się godzinami, boleśnie wlokącymi się w takt gasnącego „teraz”, bezcielesnym lotem do krainy, gdzie bezstan jest królem, i nie było już blasku oczu – była trupia szarość wzroku sklepowych manekinów.

Tam, na sali sądowej, bezdusznej i tchnącej pustką ludzkich dramatów, nawet na siebie nie patrzyliśmy, wyszliśmy z niej w milczeniu, osobno, rzucając ukradkowe spojrzenia na podłogę, jak para obcych sobie ludzi, których niegdyś nieobliczalne życie pchnęło ku sobie siłą osobliwych przeznaczeń, lecz w tej oso-

bliwości nie było konsekwencji.

Potem każde z nas poszło swoją drogą, lecz wtedy nie mogliśmy jeszcze wiedzieć, że to nie koniec, że nie tak przewrotny Los zapisał naszą niezwykłą kartę żywota, jednak na to musieliśmy poczekać długie lata, nieświadomi, inni, żyjący, a nie do końca żywi.

Niedawno stuknęła mi osiemdziesiątka, i nie mogąc już prowadzić samodzielnego życia, sprzedałem mieszkanie w wielkim mieście i zamieszkałem w uroczym domu spokojnej starości „Blue Moon” w Summer Place, tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

Chciałem koniec mych dni spędzić nad morzem, wolny od wspomnień, bowiem tamten ból samoistnie wypalił się, a ja przez te ciche lata nauczyłem się wierzyć, że Rosie, nasza ukochana córka żyje gdzieś daleko, urodziła zdrowe dzieci, jest kochana i kocha.

Wyparłem ze świadomości to, co wydarzyło się tamtego, szarego, zimowego dnia.

Nigdy nie ożeniłem się, nie założyłem rodziny, coś się definitywnie skończyło.

Czasem tak bywa i nic się nie poradzi.

Pewne rzeczy mają miejsce tylko raz, i nie sposób ich powtórzyć, to byłoby oszustwo.

Nie chciałem postępować wbrew sobie, zresztą nie umiałbym.

Candy także przeszła tą samą drogą, czyż to nie dziwne?

Choćbym żył kolejne tysiąc lat, nadal czułbym całym jestestwem, że tego nijak nie pojmę – bowiem nie wszystko, co nas otacza można ogarnąć drogą logiki i zimnej, matematycznej analizy, pewne rzeczy warto przyjmować takimi, jakimi do nas przychodzą.

Bo jest tyle tajemnic między ziemią a niebem, tyle przedziwnych „niedopowiedzeń” sprawiających, iż próżno łamać sobie głowę nad tym, jak je zdefiniować i przyjąć za pewnik.

Wiecie, co?

Wczoraj mi powiedziała, tak lekko, tak naturalnie, jak mówi się o ciepłym, wiosennym deszczu, czy czulej, letniej bryzie znad morza, że i ona myśli podobnie jak ja, też w niewytłumaczalnie wyrazisty sposób czuje, że Rosie jest szczęśliwa i nic jej nie brakuje, mówi to bardzo często i uśmiecha się jak za dawnych lat, a ja patrzę na nią i pragnę, by tak było już do końca.

Kiedys zakochani, dziś przyjaciele, wyciszone dusze, wylądowaliśmy nad morzem, ja w marcu, Candy dwa tygodnie temu – ona też chciała tu wrócić, a może nazwiecie to telepatią?

Za pięć minut przyjdzie do mojego pokoju i potem pójdziemy na pączki z kawą.

Mają tu świetne wypieki, dbają o nas jak o własne dzieci, to istny raj na ziemi.

Jak będziecie kiedyś przejazdem wpadnijcie, pytajcie o Mike’a i Candy, będzie nam naprawdę przyjemnie.

Cykl: *Tamtego lata nad morzem*

23 lipca 2015

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 09.09.2015 03:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.